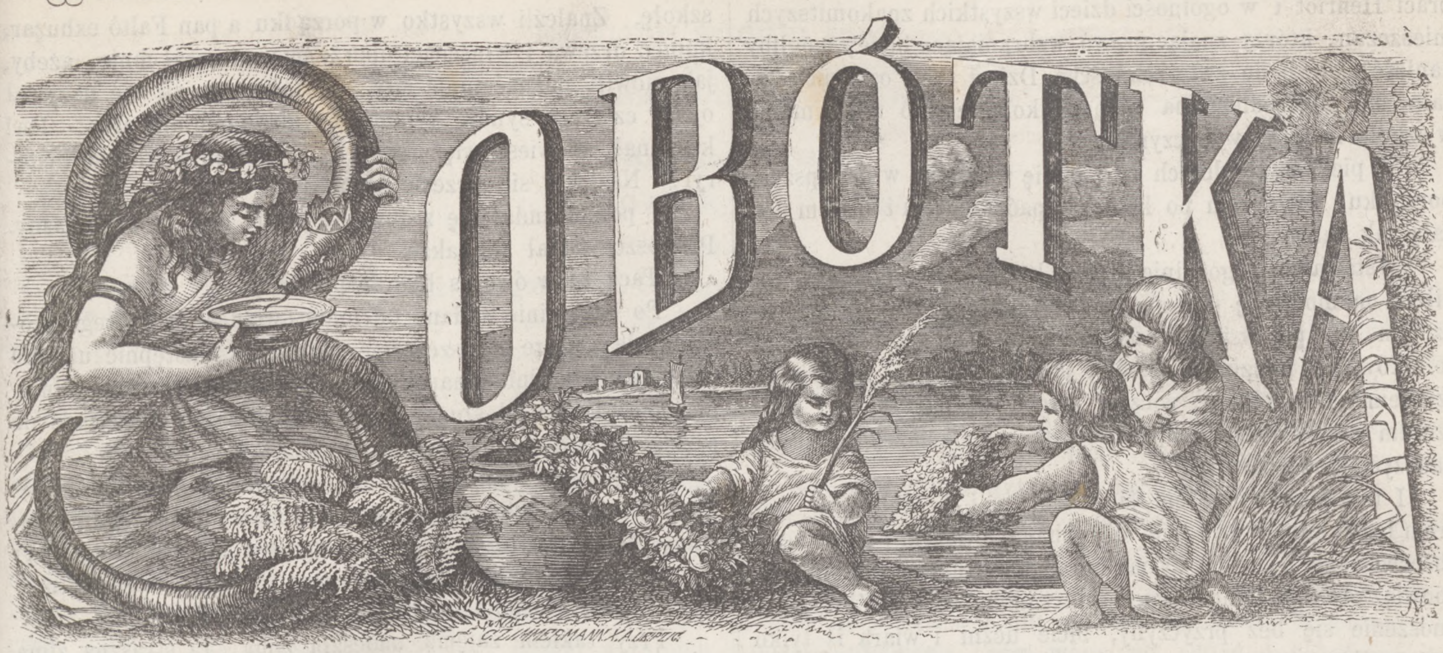
Nr. 41. Poznań, dnia 7. Października 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

HISTORYA
NAUCZYCIELA SZKÓŁKI WIEJSKIÉJ

przez

Erckmann-Chatrian.

(Tłomaczenie z francuzkiego.)

(Ciąg dalszy.)

Jeżeli mam prawdę powiedzieć, sposób p. Wilhelma, okazał mi się bardzo dogodnym; byłem w wieku, w którem zwykle najprostsze wydaje się najlepszem, a ponieważ poprzednicy moi z powodu swojéj łagodności, byli zmuszeni miejsce opuścić, postanowiłem bić raczéj niż stanowisko utracić. Jeżeli ta dzika rasa nie będzie posłuszną, tem gorzéj dla niéj. Porządek wrócił i około godziny jedynastéj, po modlitwie wszyscy wyszli mówiąc: Dzień dobry, panie Wilhelmie! dzień dobry, panie Janie Baptyście!

Skoro sala się wypróżniła, stary nauczyciel, śmiejąc się rzekł z cicha do mnie:

„Czy słyszysz... wiedzą już jak się nazywasz: Dzień dobry panie Janie Baptyście! To dobry znak. Po obiedzie jeżeli nie będą takiemi, jakiemi być powinni; bij i bij, a za ośm dni będą Cię więcéj szanowali, niż innych za sześć miesięcy.“

Wchodząc na schody i spoglądając na spokojnie idący tłum dzieci, mówił daléj. „Patrz, zwykle biegą one i krzykiem przeraźliwym napełniają wieś całą; dziś wszyscy są zdziwieni... A ten wielki... jak się drapie po krzyżu. A! nicponiu, chcesz innych do śmiechu pobudzać, dobrze więc! zobaczymy kto śmiać się będzie ostatni...“

Weszliśmy na górę. Pani Katarzyna była zajętą zdejmowaniem bielizny, która suszyła się w około pieca. Biedna kobieta miała obowiązek mycia bielizny kościelnéj, a pokój był jedynem miejscem odpowiedniem do suszenia. Po naszem wejściu, bieliznę zdjęła, okno otworzyła i stół przykryła. Korzystając z przedobiedniéj chwili, zająłem się przeglądem książek stojących na półkach. Począwszy od katechizmu a skończywszy na kursie arytmetyki, autorami byli ojcowie kościoła.

„Jeżeli masz ochotę,“ mówił pan Wilhelm, spoglądając na mnie, „to czytaj. Ja już oddawna książki nie biorę do ręki. Dziś wszystko nowe. Ojcowie kościoła idą na przodzie nauki i dają nowe światło na nią.“

Byłem bardzo zadowolniony z pozwolenia uczenia się w chwilach wolnych. Siedliśmy następnie do stołu, na którym misa z zupą i półmisek z kapustą, bardzo się zalecały. O godzinie pierwszéj po obiedzie zadzwoniłem na szkołę i lekcye wieczorne się rozpoczęły. Prócz uderzeń trzcinką, do których powodów nie było, były one powtórzeniem rannych.

Przez dwa dni następne musiałem popisywać się z nauczycielskiemi zdatnościami; nauczyciel unosił się nad moją energią. Przy rozmowie zalecił mi oszczędzanie syna mera pana Bauquel, dwóch chłopców pana Jana Placial, dwóch

braci Henriot i w ogólności dzieci wszystkich znakomitszych mieszczan, którzy znając prawo wzbraniające bicie, mogliby zanieść skargę do zwierzchności. Dzieci tych ostatnich karało się klęczeniem na jednem kolanie lub zatrzymanie w szkole na czas wypoczynku.

W pierwszych dniach odbyło się wszystko w najlepszym porządku; wieczorem po kolacyi spać szedłem i spałem noc całą jak zabity.

Wstawałem o godzinie piątéj, kwadrans na szóstą dzwoniłem na modlitwę poranną; a następnie godzinkę przechadzałem się po wsi zastanawiając się nad sposobem życia rolników. O godzinie szóstéj i pół, dzwoniłem na szkołę, szedłem na śniadanie, poczem lekcye się zaczynały. Wieczorem przy świetle lampy uczyłem się z książek mi przez nauczyciela użyczanych.

I tak przyzwyczaiłem się do złego i do dobrego. Dobrem było ranne wstawanie, oddychanie świeżem powietrzem, obserwowanie sposobu życia ludzi, punktualne wypełnianie obowiązków i w końcu praca nad samym sobą. Złem było unoszenie się bez przyczyny, bicie uczni i wiara iż tylko przez siłę można coś wskurać. Ponieważ dotykam tego przedmiotu, czuję potrzebę wypowiedzenia, że trzy czwarte i pół ludzi, żyją przyzwyczajeniami; według tego jakich przyzwyczajeń w dzieciństwie nabrali — przyzwyczajeń działania, przyzwyczajeń myślenia, przyzwyczajeń rozbierania i wierzenia. Piętna te pozostają zwykle aż do ostatnich dni życia. Przyzwyczajenie w dzieciństwie robi ludzi pracowitymi lub próżniakami, wstrzemięźliwymi lub pijakami, rozrzutnymi lub oszczędnymi, przedsiębiorczymi lub nieśmiałymi, szlachetnymi, hipokrytami, burzliwymi i t. d. Tak, ze zwyczaju jak ze źródła prawie wszystko płynie i mało jest ludzi którzyby posiadali dosyć odwagi i wytrwałości do przezwyciężenia przyzwyczajeń. Większość idzie jak stado za przyzwyczajeniami i dla tego to właśnie wychowanie tworzy nietylko jednostki ale i całe narody; dla tego wybór nauczycieli i nauki jest tak ważny; dla tego ci którzy pragną rządzić narodem, starają się przedewszystkiem wychowaniem dzieci owładnąć i dać im przyzwyczajenie myślenia na swój sposób. Wychowanie publiczne jest wielkiego znaczenia, a mianowicie w krajach gdzie każdy ma prawo głosowania, gdzie głos wyrobnika równa się głosami ministra.

III.

I tak bez zmiany minęło pięć tygodni. Dzwoniłem na mszę, zamiatałem kościół, pomagałem p. Wilhelmowi przy śpiewie na nabożeństwie niedzielnem, ubierałem i rozbierałem proboszcza w zakrystyi, zapalałem i gasiłem świece i w końcu pełniłem wszystkie obowiązki pomocnika nauczyciela.

W ciągu tych pięciu tygodni, proboszcz Bernard i pomocnik burmistrza Faltô, stósownie do przepisu zwiedzili raz szkołę. Znaleźli wszystko w porządku a pan Faltô exhuzar, kupiec drzewa i właściciel oberży egzaminował mnie, ażeby, jak mówił, poznać moje siły. Pytał mię jak się nazywał ojciec czterech synów Aymon, i widząc mój ambaras: Ha! krzyknął, niewiesz więc tego!... Nie umiesz własnéj historyi? Nazywał się przecie Aymon!

I potem śmiał się z dowcipu jakby to jego był własny. Proboszcz śmiał się także.

Tacy to w ówczas byli inspektorzy!

Po egzaminie żądano odemnie świadectwa dobrego prowadzenia, które na szczęście miałem. Następnie uznano mię jako pomocnika nauczyciela: świadectwo zaś uzdolnienia uwalniające od służby wojskowéj, miałem otrzymać po przebyciu egzaminu drugiego stopnia.

Łatwo pojąć jakim mię niepokojem egzamen ten nabawiał. Pan Wilhelm zapewniał mię że z piękną kaligrafią, z katechizmem i historyą świętą sprawa nie będzie trudną; ale nie ufałem temu i całe wieczory ślęczałem nad arytmetyką księdza Borne i nad historyą księdza Loriquet.

Przy takiem zajęciu nadeszła zima, ta straszna zima w górach, która się zaczyna w Październiku a kończy w Marcu. Pewnego rana po obudzeniu się spostrzegłem małe moje okienko zasypane śniegiem; padał on przez noc i trzy dni następne. Mróz śnieg ścisnął a stare dachy i gałęzie drzew gięły się pod jego ciężarem. Gdziekolwiek się oczy zwróciło, spotykało się śnieg i śnieg i zawsze śnieg. Ach! okolica płaska w niczém niema podobieństwa do górzystéj, ale trzeba się było przyzwyczaić do miejsca; najgłówniejszém było dla mnie mieć zawsze kartofle i mleko gotowane, którém pani Katarzyna prawie codzień raczyła.

W tym to czasie p. Wilhelm zachorował na romatyzm — romatyzm który z nogi prawéj przechodził do lewéj, następnie do boku, zmuszając chorego do bolesnych jęków. Nie mógł on poruszyć się i pomimo ciągłego wcierania tłustości gęsiéj, chudł w oczach. Wtenczas prawdziwie mu pomocnym byłem. Szkoła tylko na mnie spoczywała i robiłem sam wszystko, nawet w kościele. Prawda że nie miałem głosu do śpiewu równie silnego i dźwięcznego jak pan Wilhelm, i że nie umiałem dobrze rytuału, ale radziłem sobie jak mogłem, a proboszcz, jako na rekomendowanego przez księdza kanonika de Briqueville, nie skarżył się bardzo.

W końcu Listopada, wieczorem, kilka chwil przed modlitwą uczniów, spostrzegłem że jakieś sanie zatrzymały się przed domem. Pytałem sam siebie, ktoby to mógł być? Mężczyzna wysoki, chudy, około lat czterdziestu z lisią czapką na głowie, przywiązał konia do płotu i wszedł na schody. W kilka minut zszedł znowu, głośno mówiąc: Wszystko będzie dobrze, pani Katarzyno. Poszlij tylko jak najprędzéj umyślnego; każę p. Regoine przygotować receptę. Do widzenia! He, siwka, he!

(C. d. n.)

Rozdział z tomu piątego
HISTORYI POWSTANIA NARODU POLSKIEGO 1861—1864
przez
Agatona Gillera.

Wypadki Lutowe.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz łatwo było spostrzedz, że gwałty na Starem mieście dokonane, nie przestraszyły ludności, ale ją oburzyły; że przemocą powstrzymana manifestacya zrobiła skutek, którego się wcale Moskale nie spodziewali. Przez cały dzień większe niż zwykle masy publiczności zalegały chodniki i nic sobie nie robiły z wojska, które było na Saskim placu zebrane, a któremu Gorczaków dziękował za dobrą postawę w obec rozruchów. Rozpowiadano o wieczornych zapasach, nie kryjąc bynajmniéj odrazy do władz moskiewskich; wymieniano nazwiska rannych; wspominano rybaków którzy mieli widzieć trupów w Wisłę wrzuconych; przy poczcie pokazały się pierwsze kapelusze i czapki w żałobie. Szarża staromiejska przedstawiła się umysłom w rozmiarach szerszych i w barwie bardziéj krwawéj od téj, jaką miała w rzeczywistości. Na wspomnienie krwi przelanéj, nikt nie miał odwagi wystąpić z krytyką manifestacyi, ofiara budzi zawsze współczucie, pokonywa zwycięzcę cierpieniem swojem. Młodzieńcy aresztowani urośli na bohaterów. Przeciwnicy ich przedsięwzięcia pokonani zostali argumentem krwi. Klasyczny spokój Towarzystwa Rolniczego, utrzymany na posiedzeniu odbywającem się jednocześnie z gwałtami na Starem mieście wydał się nazajutrz ludziom gorętszym jako objaw egoizmu i braku patryotyzmu, tém więcéj, że agitatorzy rozpuścili zręcznie wymyśloną bajkę, jakoby car telegramem kazał podziękować Towarzystwu za to, że udziału nie wzięło w manifestacyi.

Nie ma dotkliwszéj dla Polaków obrazy jak pochwała i wdzięczność carska. Nie starano się zbadać o ile prawdziwą jest wiadomość o owém podziękowaniu, lecz żałowano, że się zdobyto na spokojność. Wprawdzie i we Wtorek Towarzystwo obradowało z specyalném zajęciem, jakby nic nie zaszło, ale już się okazywały oznaki niecierpliwości, już można było być pewnym, że członkowie nie utrzymają się długo w nieruchoméj roli. Wpływ tylko jakiego używał Zamojski sprawił, że się posiedzenie dnia tego nie zamieniło na klub burzliwy. Zapał szedł z dołu w górę i ogarniał najobojętniejsze umysły. Pod jego działaniem niepopularni w kraju marszałkowie szlachty udali się na zamek do namiestnika i przedstawili mu zaniepokojenie ogólne jako wynik postępowania władzy i prosili o uwolnienie więźniów pobranych dnia wczorajszego. Marszałkowie posiadali zupełne zaufanie rządu, krok więc jaki uczynili, kazał się spodziewać pomyślnych następstw. Namiestnik wbrew oczekiwaniom, źle ich przyjął, przedstawienia nie uwzględnił, co spowodowało następnie wszystkich do podania się do dymisyi. Postanowienie działania przemocą wojskową było dnia tego niezachwianem w Gorczakowie. Rozkazy z Petersburga utrzymywały go w niem tém bardziéj, że nierozumiejąc tego wszystkie co się działo, mniemał, że rewolucya niebawem wybuchnie. Policya więc pełniła swą służbę z zwykłą surowością, nie zrobiła jednak wielkich zdobyczy, bo nigdzie nie było zbiegowiska, znikąd nie dawały się słyszeć mowy pobudzające, strzały rewolucyjne, ani też przysięgi konspiracyjne — ruch padł w głębie dusz i okazywał się w obliczach, w spojrzeniach i w oczekiwaniu czegoś nadzwyczajnego, przez nikogo niezapowiadanego.

Nastała Środa, dnia 27 Lutego, pamiętny dzień pięciu ofiar. Warszawa od rana była niezmiernie ożywioną, szczególniéj też Leszno i Krakowskie przedmieście roiły się ludźmi. Jedni dążyli do kościoła karmelitów, drudzy do pałacu namiestnikowskiego. Tam miało się odbyć nabożeństwo żałobne, tutaj ostatnie posiedzenie Towarzystwa. Kto zapraszał na nabożeństwo na Lesznie? niewiadomo. Niewiadomo nawet było, za kogo to nabożeństwo miało się odbyć. Jedni mówili, że za Szymona Konarskiego, inni, że za pobitych na Starem mieście. To pewnem było, że nabożeństwo miało mieć miejsce i że nie studenci je urządzali, tylko młodzi z prowincyi obywatele, którzy nieobecność swoją na Starem mieście w ten sposób wynagrodzić chcieli. Policya była na stanowiskach. Trepów udał się na Leszno — nabożeństwu jednak nie przeszkadzał, owszém, żandarma który wydobył pałasz i groził nim publiczności, na miejscu, w obec tejże publiczności, wypłazować kazał. Nabożeństwo odbyło się więc spakojnie, bez pieśni i żadnego zajścia. Po wyjściu z kościoła, obecni, nie porozumiewając się z sobą utworzyli orszak, który ruszył ku Długiéj ulicy, rosnąc po drodze jak śnieg toczący się z góry w coraz większą gromadę ludzi. Gdzie ci ludzie szli? nikt powiedzieć nie umiał: po co szli? żaden z nich nie wiedział. Szli jakby niewidzialną siłą poruszani, a w drodze jedni mówili: „Chodźmy przed zamek upomnieć się o uwolnienie więźniów i o sprawiedliwość“, inni, „idźmy aż ku Trzem Krzyżom przez całą Warszawę jak chcieli ci, co na Starem mieście, byli rozproszeni.“ Szli więc... Trepów i policya za nimi, uważając bacznie to poruszenie, lecz nie przeszkadzając mu w niczém. Obok kościoła popaulińskiego, zwrócili się ku Staremu miastu, gdzie mieszczanki uzbroiły się w krzyże, w obrazy Matki Boskiéj Częstochowskiéj i różnych świętych. Na ulicy św. Jańskiéj z okien nawet najwyższych pięter spuszczano na przechodzący orszak obrazki powydobywane z książek do nabożeństwa, które niosąc przed sobą, bez żadnych chorągwi i oznak narodowych, weszła ta dziwna procesya na plac Zygmunta III. Ledwo się na nim pokazała, kozacy kubańscy zwani w Warszawie czerkiesami, z powodu ubrania czerkieskiego, z pod zamku puścili się na nią w galopie i bijąc batami po głowach, porozbijali obrazy, powytrącali z rąk krzyże, procesyą rozpędzili, lecz nie mogli przeszkodzić zbieraniu się ludu, który ciągle na plac przybywał i stawał

lub téż przechodził obok kolumny Zygmunta. Kozacy nie wiedzieli co robić z rosnącym tłumem, tém bardziéj, że publiczność, która napełniła szeroką ulicę, nie miała nawet obrazków, t. j. broni, w jaką pobożne mieszczki Starego miasta, zaopatrzyły orszak rozpędzony przed półgodziną — wzburzenie zaś jakkolwiek silne, nie okazywało się na zewnątrz żadną nieprzyjazną czynnością. W tym czasie z kościoła bernardynów wyniesiono trumnę Łempickiego, urzędnika dyrekcyi Ubezpieczeń i ustawiono ją na karawanie. Wystąpili księża Bernardyni i Kapucyni, kondukt miał już ruszyć z miejsca, gdy kozacy rozkazem czy szałem poruszeni uderzyli na pogrzeb, a rąbiąc szaszkami, poniewierali i kaleczyli ludzi. Za braciszkiem bernardynem wbiegł konno kozak aż do kruchty kościoła i tam ciął go dwa razy. Pogrzeb wstrzymany w swéj drodze zwrócił się w stronę przeciwną, lecz i tu napotkał kozaków, którzy wpadli na księży i lud, pałaszami i batami wywijając na wszystkie strony. W tym szalonym napadzie nie poszanowali krzyży: jeden porąbali, drugi wyrwali z rąk zakonnika, co wreszcie do ostateczności oburzyło baby, zbierające się dla jałmużny, jaką dają na pogrzebach. Cegłami, które leżały przed budującą się Nową Resursą, poczęły miotać na kozaków, w czém im dopomagali uliczni chłopcy, niektórzy zaś dla wstrzymania nowéj kolumny wojska, zatamowali wejście, gdzie się zwęża Krakowskie Przedmieście, doróżkami. Po chwili jednak doróżki uprzątnięto, pociski ceglane ustały, kozacy ustąpili, a pokazała się na Krakowskiem Przedmieściu piechota. Lud z ulicy nie ustępował, trzymał się na niéj niczém nie zachwiany. Wkrótce potém masę jego powiększyli wiejscy obywatele, którzy wyszli z posiedzenia w pałacu namiestnikowskim.

Towarzystwo Rólnicze obradowało jeszcze dnia tego, lecz rozprawy jego były nieważne, urywające się, często bowiem ktoś nowo przybyły dawał po cichu wiadomość, to z Leszna, to z pod zamku i mówił rzeczy, króre bicie serca przyspieszały, krew do głowy pędziły. Niecierpliwość wzmagała się — z różnych stron sali odzywano się, że niepodobna obradować w takim czasie, gdy naszych mordują. Inni chcieli, ażeby całe Towarzystwo ruszyło do zamku. Fala go zagarniała i na tonie unosiła; w téj niebezpiecznéj chwili, Zamojski ratując statek Towarzystwa zamknął kilku słowami tegoroczne posiedzenia. Wtedy właśnie pokazała się na sali wysoka postawa Józefa Narzymskiego. Twarz miał bladą i okrwawioną; kozacy zbili go pod zamkiem. Widok krwi do reszty wyczerpał cierpliwość zgromadzonych. Otoczyli Zamojskiego, a pokazując mu ranionego, żądali, ażeby udał się do namiestnika i zapobiegł rozbojom i mordom. Zamojski przyobiecał, że się upomni o sprawiedliwość, ale zalecał przedewszystkiem umiarkowanie i rozważne postępowanie. Kiedy ostatni członkowie opuścili salę i przechodzili przez dziedziniec pałacu wojskiem zapchany, na Krakowskem Przedmieściu, po drugiéj godzinie po południu, padli już niektórzy z ich kolegów, zabici przez oddział piechoty, który się rozstawił w szerz ulicy na przeciw domu Malcza. Rozkaz do strzelania wydał jenerał dyżurny Zabołockoj, prowadzący wojsko szturmowym krokiem na lud bezbronny i spokojnie zalegający ulice. Strzelano trzy razy rotowym ogniem w gęsty tłum, który jakby niedbając o życie, nie cofnął się przed kulami. Strzały padały na dom Malcza, w wązkie przejście Krakowskiego Przedmieścia, na ulicę Bednarską i ugodziły wiele osób. Pięciu na miejscu zostało zabitych, a mianowicie: Marceli Karczewski, obywatel z Sieradzkiego, mający lat 56; Zdzisław Rutkowski, obywatel z Jaszowic z Radomskiego, lat 23; Karól Brendel, rzemieślnik przy warsztatach z fabryki żelaznéj; Adamkiewicz, wyrobnik i wreszcie Michał Arcichiewicz, uczeń VI klasy gimnazyalnéj, jedynak, który 25 Lutego, odwagą oraz przytomnością umysłu uratował życie, podczas szarży żandarmów na Starem mieście, krewnéj swojéj Amelii Karpińskiéj. Rannych było wielu, pomiędzy innymi: Henryk Karski, Błeszyński, Stanisław Wołowski, Kolasiński i Wiśniewski. (C. d. n.)

USTĘP Z BOJÓW POLSKICH*)

przez

K. S. Bodzantowicza.

Epizod z bitwy pod Dębem.

. . . .

. . . .

W nocy przeszło całe wojsko na drugą stronę Wisły i uszykowało się pod okopami Pragi, a skoro rozwidniać poczęło uderzono na Moskali. Pod karczmą Wawrem bój był zacięty; zdobyto okopany obóz, i ciągle w ślad idąc za nieprzyjacielem, rozbijając jego czworoboki, biorąc działa i niewolników, postępowało wojsko nasze. Pod Dębem zupełne było zwycięztwo, a niezmierna ilość niewolnika bezprzykładną rzeczą w historyi wojen jakie Moskwa nawet z Napoleonem staczała. W téj bitwie zaszło jedno z tych dziwnych wydarzeń w jakie obfitują annale wojskowe. Na szosie stał pułk karabinierów, o którym już wspominałem, a dowodził nim pułkownik późniejszy generał Schneide; po za niemi na boku rozwinięty był drugi szaserów. Na przeciw karabinierów odprzodkowanych stało sześć dział moskiewskich, po za niemi w assekuracyi jakiś pułk dragoński z białemi obszlegami, a na tejże prawie linii, ale w znacznym oddaleniu pułk ułanów z żółtemi obszlegami ułańsko-litewski zwany, którego dowództwo świeżo otrzymał niejaki Szyndler, dawny dowódzca szwadronu gwardyi konnopolców, który przez piętnaście lat istnienia królestwa stał ciągle w Warszawie, i znał dokładnie cały skład armii polskiéj; wiedział też dobrze że tam cięźkiéj kawaleryi nie było. Wi-

*) Jest to ustęp z „Polskich Bojów“, których manuskrypt nabył J. K. Żupański od p. Bodzantowicza, i które w tych miesięcach opuszczą prasę.

dząc z daleka czarne hełmy w mosiądz okute z włosianym grzebieniem na wierzchu, wziął ich za kirysierów moskiewskich, którzy zupełnie takie same mieli, a że w tem miejscu grunt jest poprzerzynany gęstemi zaroślami mógł też dojrzeć po nad krzakami tylko głowy jezdzców i to go w błąd wprowadziło. Niebawem nadbiegł adjutant wodza naczelnego z rozkazem do Schneidego, żeby uderzył na działa przed nim stojące, a ten wniósł, że idąc prosto na wielkie straty byłby narażony, wziął się też w prawo i obchodząc zarośla dążył na skrzydło bateryi, na którą miał szarżować. Byli oni w znacznéj już odległości kiedy z drugiego szaserów odłamał się dywizyon, i szedł ku szosie, żeby wesprzeć karabinierów, gdyby ci cofać się zmuszeni byli. Schindler kiemi drożynami pomiędzy krzakami postępowali ku gościńcowi. Jednakowy krój mundurów obu wojsk, ciemna barwa sukna, tych samych kolorów kołnierze i rabaty, i takiegoż kształtu kaszkiety nieraz były powodem pomyłki, która tym razem wybitnie bardzo wykazała się. Działa zdobyte dochodziły już do miejsca z którego ruszyli karabiniery, kiedy z krzaków zaczęli wysuwać się ułani a nie widząc szaserów, a przeciwnie szosą idące działa swoje i za niemi pułk który za kirysierów mieli, szli swobodnie, a Polacy znowu byli przekonani że to jeden z dwóch pułków Mazurów, którzy takie same czapki ułańskie, i takież żółte kołnierze mieli. Nie wiem jak długo byłoby trwało to zobopólne złudzenie, gdyby jeden z oficerów od karabinierów,



Most kolei żelaznéj na Rigi.

widząc ten ruch konnych strzelców (o których wiedział że to polacy) posunął się z pułkiem, i jak karabiniery obchodząc zarośla, które go często zakrywały, i on dążył do szosy. Tymczasem karabiniery znalazłszy się prawie na wysokości dział moskiewskich z największym impetem uderzyli na nie, bez starcia pierzchnęli dragony, i wszystkie sześć dział, które na przedłużnicach były, wraz z przyborem i kanonierami dostały się w ręce Polaków, a między niewolnikami był jenerał od artyleryi nazwiskiem Lewandowski; wsadzono go zaraz na działo, i armaty przodem, za niemi karabiniery szli szosą, szasery zaś widząc zdobyte działa zwrócili się na dawne stanowisko. Ułani Schindlera zakryci zaroślami, ani zdobycia dział, ani odwrotu szaserów nie widzieli, i wąz- świeżo z pierwszego ułanów na dowódzcę szwadronu awansowany dobrze znający Schindlera, widząc go przed pułkiem, który miał za mazurów, pewny że się dostał do niewoli, podjechał do niego i z rodzajem interesowania: „Co tu pułkownik porabiasz?“ zapytał. Schindler wpatrzył się w niego zdziwiony, a po chwili poznał on i twarz dobrze mu znaną i błąd w jaki popadł, zwrócił się też do swoich. „Ułany!“ krzyknął „piki na pierewies, kali skaréj lachy“ i zaraz okrzyk „strojsia“ przez oficerów wydany, rozległ się w szeregach. To hasło do boju zastało karabinierów dowolnie idących, to też rzucili się oni na pole, żeby mieć miejsce zformowania się, zostawiając na drodze zdobyte działa, a ułani jako następstwo pierwszéj pomyłki wpadli w drugą.

Kiedyż to są Polacy pomyśleli, to muszą bydź i ich działa, wpadli téż na nie, i pomimo wołania kanonierów że są Moskale, kłuli ich i ściągnęli na ziemię Lewandowskiego. Głośna komenda, potém okrzyk natarcia doszły do uszu szaserów, zwrócił się téż zaraz ów dywizyon co szedł w pomoc karabinierom i wyciągniętym pędził galopem, a kiedy z zarośli wysunął się na otwarte miejsce uderzył z boku na ułanów. Tymczasem sformowali się karabiniery, wpadli na nich z drugiéj strony i wszczęła się rzeź straszna. W tym starciu Schindler spotkał się z jakimś wachmistrzem od szaserów i natarł na niego, ależ ten odbił cięcie pułkownika i zranił mu rękę a potem pchnął go krzywym pałaszem swoim w piersi tak silnie, że aż plecami wyszedł koniec szabli*). Rzadko się zdarza po bitwie między kawaleryą widzieć taką ilość zabitych jaka leżała w tem miejscu, bo literalnie z małym wyjątkiem co ujść zdołało, wyrąbali karabinierzy i szaserzy pułk cały, ztąd po skończonéj wojnie, kiedy go na nowo formowano, żeby zatrzeć pamięć téj klęski, Nasauskim go od nazwiska właściciela nazwano.

W parę lat po wojnie dziwnym trafem, spotkanie to opowiadane przez jednego z aktorów tego krwawego dramatu, odświeżyły go w mojéj pamięci, a jego następstwo pozostało w niéj jako obraz szlachetnéj strony żołnierskiego zawodu.

*) W nocy dnia tego jechałem kuryerem do Cegłowa gdzie była główna kwatera. Koło placówki 3 ułanów stało. Na pobojowisku zatrzymałem się i przy świetle ognia który tam był rozniecony, widziałem ciało zabitego Schindlera, a potém z rozkazu jen Skarzyńskiego oddałem wdowie zegarek po nim, który jenerał od szasera co go zabił odkupił. (Przyp. autora.)

(Dokończ. nast.)

SIOSTROM NA WYGNANIU.

PRZESŁANIE JAKO ODPOWIEDŹ PANU H. MERZBACHOWI.

Kwiaty nie więdną dla Polskiéj niwy!...
Balsamem życia tchnie ich woń!...
Czemuż je stawia słowiczek tkliwy
W zwątpienia toń?...

Stój, stój! słowiczku! nie żalu brzmienia
Rozwodzić tobie!... Patrz w słońce!
W słońce twéj duszy!... które natchnienia
Niesie gorące...

Jak gwiazd niebieskich, kwiatów ojczystych
Tysiące ziemię posiało...
Gwiazd téż znaczenie... w drogach wieczystych
Nieba im dało..

A jeśli barwiąc, więdną z kolei,
Kwiaty piękna... i miłości...
To zostawiają ziarno nadziei
Plonom przyszłości!.

Nie dla was smutek w nucie słowika...
Wiara w kochanków, sny zmienne...
Jest miłość świętsza... która przenika
Serca płomienne!...

Miłość, co czoła cierniem przystraja...
I stroi w hart siły męża!...
Kajdannym szlubem ręce wam spaja...
I tem zwycięża!

1871. Ludmiła.

PODRÓŻ
DO NOWO ODKRYTYCH KRAIN.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy tak Czytelników obznajmiłem z częścią przyrody środkowéj Afryki, w następnym postaram się skreślić obrazek życia ludzkiego w owych stronach, podług opisu Dr. Nachtigalla, dodając tylko od siebie, że Dr. Nachtigall należy do najodważniejszych podróżników, do najśmielszych apostołów cywilizacyi współczesnéj i do najznakomitszych badaczów Afryki.

„Mieliśmy do walczenia, — powiada Dr. Nachtigall, — z intrygami beja Trypoliccy, który się sprzeciwiał podróży mojéj do środkowéj Afryki, a które to intrygi zaledwie przy pomocy niemieckiego posła w Konstantynopolu zwalczono. Najważniejszą i najniebezpieczniejszą częścią mego zadania było wyśledzenie Oazy Tibesti, zamieszkałéj przez okrótny szczep Tibbu Reszade. Kiedy szczęśliwie z téj podróży wróciłem, udało mi się 18. Kwietnia 1870 r. dostać z karawaną do Kuka, stolicy muhametańskiego państwa Bornu, którego Sułtan Omar już gościnnie przyjmował podróżujących Bartha, Overwega, Vogla i Rohlfsa. Za tę gościnność miał być hojnie wynagrodzony podarunkami od króla Wilhelma, których oddanie było moją missyą.

„Dnia 19 Lipca 1870 roku odbyłem uroczysty wjazd do Kuka i miałem audyencyę u Sułtana.

„Kuka leży blisko o milę na zachód od jeziora Tsad. Miasto to zostało 1814 r. założone przez Sułtana Bornu Muhammeta i nazwane od chleba małpiego (Adansonia digitata) kuka, które tamże rosło. Składa się to miasto z trzech części, zachodniéj, wschodniéj i środkowéj; z których pierwsze dwie są otoczone wysokiemi murami z twardéj gliny.

Publiczne gmachy tego 60,000 mieszkańców liczącego a z gliny wzniesionego miasta, nie odznaczają się niczém. Obecny Sułtan, Szejch Omar, noszący tytuł Mai czyli król, mieszka we wschodniéj części, gdzie posiada trzy obszerne mieszkania, w których kolejno przebywa. W środku na obszernych dziedzińcach są liczne chaty, kryte słomą, w których się mieszczą kobiety, dzieci i niewolnicy. Meczety są po prostu kupami ziemi. Ludność tego miasta, które się słusznie uważa za centrum handlu środkowéj Afryki, jest bardzo mięszana. Po części składa się ona z „Kanurgów," szczepu stanowiącego państwo Bornu; oni pochodzą z Kanu strony północnéj jeziora Tsad, w części zaś należą do szczepów Tibbu z pustyni, Tuaregu, Arabów i Berborów.

„Kuka jest wielkiem miastem, w którem handel i rzemiosło kwitną. Przędzenie bawełny, fabrykacya indygo, farbowanie i garbowanie skór pod gołem niebem i pod okiem wszystkich odbywa się, a rzemiosła szewców, krawców, stolarzy, blacharzy, kowali, nożowników i t. d. mają licznych reprezentantów. Co poniedziałek jest wielki targ, a oprócz tego każdego dnia miasto wygląda jak wielki plac handlowy, gdzie wszystkiego dostać można. Tu zawsze jest do sprzedania płynne masło, mięso, zboże, orzechy ziemne (Arachis hypogea), melony, owoce lotusa (Nymphaea lotus, święta roślina Sanskrytu) i zapasy do jedzenia wszelkiego rodzaju.

„Wielce zajmujące są budy, w których europejskie artykuły handlu się sprzedają. Tu są wystawione perły, jedwabne materye, perkale, lustra, porcelana, igły, noże, gruby papier do pisania i inne towary. Pereł szczególniéj jest wielki wybór. Ważnym jest także targ niewolników. Czarny towar ludzki, jak niewolników nazywają, każdego dnia w dostatku na sprzedaż przyprowadzają; 100—200 ludzi zawsze jest, a w poniedziałek liczba do 1000 dochodzi, i niekiedy nawet tę cyfrę przechodzi. Handel niewolnikami odbywa się en gros, a europejczycy dotąd swą władzą nie sięgają, żeby i tu znieść ten oburzający handel. Niewolnicy tu są bardzo poszukiwani i w znacznéj cenie, skutkiem czego też handel nimi kwitnie. Piękne, młode dziewczę od 13 do 16 lat kosztuje do 16 talarów, chłopak średnio 20 talarów. Za targowiskiem niewolników jest targowisko, na którem wystawia się na przedaż dobytek, między którym oprócz koni, osłów, rogacizny, owiec, kóz i kur, także i wielbłądy się znajdują.

„Przed wjazdem moim do miasta spotkała mnie szlachta kukańska i pancerniki, którzy mi przy wjeździe towarzyszyli. Na drugi dzień przyjął mnie w audiencyi Sułtan Omar dla przyjęcia przysłanych mu podarunków.

„Najwięcéj cieszył Omara tron i często przez całe godziny siedział przed nim i admirował prześliczne krzesło. Wielkie portrety króla, królowéj i następcy tronu dumą go napełniają i nawet muzułmańskie sumienie niejako uspakajają, boć wiadomo, że mahometanom nie wolno mieć obrazów. Kiedy się dowiedział, że między podarunkami znajdują się obrazy, o których wspomniałem, obawiał się, żeby to nie było obciążeniem sumienia mieć takowe w swem mieszkaniu. Kiedy jednak się przekonał, że ożywione płótno nie porusza się i że figury z niego nie zstępują, a nawet cienia nie rzucają, to się zupełnie uspokoił; sumienie już mu nie robiło wyrzutów za złamanie przykazania alkoranu. Kilkakrotnie musiałem mu odczytać list króla w niemieckim języku napisany, a on tymczasem studyował go w tłomaczeniu arabskiem. Treść tego listu zdaje się bardzo przemawiała do jego przekonania. Bardzo był wzruszony kiedy czytał podziękowanie króla za materyalne wsparcie, jakie udzielił Beurmannowi i Rohlfsowi, i bardzo go to ucieszyło, że nasi podróżni swemu królowi, potężnemu mocarzowi tak detalicznie opisali wyświadczone im usługi i grzeczności. To powiększyło jego zaufanie do nas i do naszego przedsięwzięcia.

„W każdym razie przez te podarunki zyskałem silną podstawę do dalszych podróży po środkowéj Afryce; prawdopodobnie sułtan wszystkich sił dołoży, abym doszedł do zamierzonego celu."

Ważną dla nauki podróż odbył w roku 1870 wiedeńczyk Ernest Marno. Od Chartrum postępował on ku źródłom niebieskiego Nilu do kraju Fasogl, gdzie się kończy panowanie tureckie, i ztąd starał się dostać do kraju Galla a jeśli by można, do indyjskiego oceanu. To mu się jednak nie udało; ale mimo to zbadał piękny kawał ziemi dotąd nie znanéj, między rzekami wpadającemi z południa do niebieskiego Nilu, a które mają swe źródła w krajach Wallega i Enarea.

„Podróż moja, — pisze sam Marno, — była najniebezpieczniejszą, jaką kiedykolwiek odbyto. W każdéj wsi, w któréj się zatrzymałem, mówiono: „co tu chce turek? zapewne kraj wyszpieguje, żeby potém przyjść z wojskiem!" W czasie kiedy mój arabski towarzysz tranzakcye odbywał z Szejkami, a niewolnik pielęgnował wierzchowce, ja siedziałem otoczony przez wielką bandą dzikich, uzbrojonych w piki, i inne bronie, którzy pilnując mnie okropnie krzyczeli i gestykulowali.

„Droga prowadziła na Dżebel, Bumu, Fassuder, Beledaffa, Belbissu do Fadazy. Kraj to cudnie piękny, bardzo górzysty, przerznięty ślicznemi strumieniami, które częścią wpadają do Tumału, częścią do Jabusa i ma zadziwiająco piękną florę i faunę, nieznaną po największéj części. Charakterystyczną rośliną kraju jest trzcina bambusowa, która tu tworzy formalne lasy, na 3—4 sążni wysokie, a tak gęste, że tylko słonie i bawoły przedrzeć się mogą. Przez takie lasy prowadzą drogi najwyżéj na łokieć szerokie, a często tak zawalone bambusową trzciną, że zaledwie przejść można.

„We Fadazy, stolicy Bambaszy, mieszkańcy bardzo byli oburzeni, a to tém więcéj, że oświadczyłem iż nie jestem turkiem, a frankiem. „Ci, powiedziano mi, zabili Kaza (Cesarza) abisyńskiego Teodora, i chcą ujarzmić wszystkie kraje." Lecz właśnie ostatnia wojna z anglikami napędziła im strachu przed europejczykami, i jéj zawdzięczam, że mnie pozostawiono przy życiu i puszczono do domu."

(C. d. n.)

Gry hazardowne, loterye, giełda i spekulacye giełdowe.

(Dokończenie.)

Przypatrzmy się jeszcze objektom spekulacyi giełdowéj, choć nie wszystkim, bo to szereg nie lada, to litania napełniająca całe stronnice gazet.

Najwięcéj w ostatnich czasach zajmowały umysły akcye na rozmaite przedsiębiorstwa, mianowicie na koleje żelazne, kopalnie, fabryki i banki. Akcye, to poprostu świadectwa, że posiadacz zapłacił pewną na niéj zapisaną sumę, na rzecz pewnego przedsiębiorstwa. To jednak jest pierwszy i fundamentalny fałsz, gdyż zwykle zaledwie na akcyę oddają połowę jéj nominalnéj wartości, rzadko dwie trzecie części, a sprzedający żąda za nią, jeźli przedsiębiorstwo ma powodzenie, całkowitą sumę (al pari), albo też 10, 20, 50, niekiedy nawet i przeszło 100 procent nad nominalną wartość.

Jakie zaś tu oszukaństwa się dzieją, najlepiéj pokazują akcye rumuńskie żelaznych kolei, przez osławionego Dra Stroussberga w kurs puszczane. Przynosiły one z początku akcyonaryuszom znaczne dywidendy t. j. premie nad zwyczajny procent. A teraz? Teraz i procentu nie przynoszą i być łatwo może, że kapitał nawet będzie całkiem stracony. Tylko Stroussberg, książę Ujezd i inne jeszcze wysoko stojące osoby wzbogaciły się, wszyscy inni stracili.

We Wiedniu spekulacya wynalazła inne środki t. j. tak zwane „banki założycielstwa“ (Gründungs-banken). Akcyonaryusze płacili tylko czwartą część lub połowę nominalnéj wartości akcyi, i z początku znaczną za całą sumę dostawali dywidendę, choć bank jeszcze nic nie założył.

Pytanie, zkąd założyciele mieli fundusz na zapłacenie tych dywidend?

Bardzo prosta tu odpowiedź. Zamiast n. p. 1000 akcyi które miały być wydane, puszczono w kurs 1500 akcyi; a ponieważ na giełdzie sztucznemi środkami potrafiono im nadać bardzo wysoki kurs, znalazł się fundusz do wypłaty procentów, dywidendy i nagrodzenia tych, którzy służyli do mamienia opinii publicznéj, tak przez fałszywe telegramy, jak przez artykuły drukowane w rozmaitych czasopismach. Po sprzedaniu zaś owych zbytnich 500 akcyi, Towarzystwo ogłosiło bankructwo i wszystkie akcye straciły swą wartość. Bardzo wielu tym sposobem straciło cały swój majątek. Czyż ich żałować? Na prawdę nie wiem co tu powiedzieć. Żal bowiem ludzi, którzy przez niewiadomość bardziéj, niżeli przez złą wolę stali się ofiarą oszustów, ale z drugiéj strony, jakże nagany godnem jest spekulowanie na bogactwa bez pracy, bez potu i mozołu.

Stroussbergowskie początkowe wypłaty na akcye rumuńskie spoczywały na takimże fundamencie; nie dziw zatém, że obecny rząd rumuński nic o zapłaceniu procentów wiedzieć nie chce. Czyby i ministrowie, którzy z Stroussbergiem akt zawarli tak się od niego odpierali, to nie wiadomo. Być może, że przy ich pomocy kwitłby jeszcze przemysł „króla żelaznych kolei“ a geniusz jego możeby się jeszcze znacznie rozwinął.

Mówiąc o spekulacyach pominąć nie możemy loteryi państwowych, na które nie wypuszczają się losy, lecz zakupić trzeba oblig państwowego długu. Nazwanie loteryi jest tu nie ze wszystkiem właściwe i tylko dla tego przyjęte, że w pewnym z góry określonym terminie odbywa się ciągnienie. Wychodzące numera wypłacają się wtenczas z pewną premią. I tak n. p. „Pruska pożyczka premiowa“ za każde 100 tal. daje jeszcze najmniéj wygranéj 110—125 tal. i $3^1/_2$ procenta od pożyczonych 100 tal., a w szczęśliwym przypadku można wygrać 100,000 tal. Loterya ta jest, jak każdy widzi, zwróceniem zaciągniętéj przez państwo pożyczki, z nagrodą, a pożyczka ta umarza się przez 40 lat.

Podobnych pożyczek kilka zaciągnęła Austrya, Rosya, miasto Brunszwik, Medyolan i inne, z których jedne 5 procent inne mniéj przynoszą, jedne w krótszych, drugie w dłuższych terminach umorzyć się mają. Obligi na te pożyczki mają kurs na giełdzie i podpadają, jak wszystkie inne papiery fluktuacyi, nieraz, jak to pokazałem, sztucznie wywołanéj. W każdym razie jednak o tych papierach powiedzieć można, że one są pewne i nic wspólnego nie mają z akcyami, których kurs najczęściéj bardzo sztucznie się podnosi i zniża. Takie obligi tylko w takim razie straciłyby swą wartość, gdyby państwo lub miasto zbankrutowało.

Przedewszystkiem starać się powinniśmy o to, aby nie za pomocą ślepego trafu się zbogacić, ale przez pracę i oszczędność, gdyż nie sama praca zbogaca. Kapitał rodzi się wyłącznie z oszczędności! Przypuśćmy bowiem że ktoś dziś ma dochodu 100 tal. a z nich zaoszczędza rocznie 10 tal., to ta przewyżka zowie się kapitałem. Ten sam zaś w następnym roku powiększa swój dochód, przez powiększoną produkcyę o sto talarów, ale w tym roku 190 tal. wydaje na swoje potrzeby lub zbytki, to on mimo powiększonéj produkcyi kapitału nie stworzył większego, jak w pierwszym roku.

Wszakże oszczędność jednostki — to kropla w morzu! Ogół oszczędzać powinien. Wspólnemi siłami talar lub mniéj nawet miesięcznie, w krótkim czasie zebrać może naród ogromne kapitały i za ich pomocą stanąć do walki na polu handlu, przemysłu, rolnictwa i umysłowego rozwoju, bo bez podstawy finansowéj trudno mianowicie podbitemu narodowi o wykształcenie, o ogólną oświatę wszystkich warstw społeczeństwa.

Ależ do zwyczajnych kas oszczędności przystępować nikomu nie radzę. To są instytucye przeżyte, przestarzałe, bo główny zysk idzie nie na korzyść oszczędzających, ale na korzyść magistratów, które z procentów w części utrzymują znaczną liczbę niemieckich urzędników i nagromadzają fundusze, wcale nie wspierające naszego przemysłu.

Natomiast miło mi że mogę wskazać na „Towarzystwa pożyczkowe“ które się jedno zawiązało w samym Poznaniu a kilka na prowincyi, w rozmaitych miastach i miasteczkach, i do których kto chce może wkłady wnosić, t. j. swoje drobne oszczędności pomieszczać. One głównie są przeznaczone do wspierania naszych przemysłowców.

Lecz i to za mało! Każdy człowiek ma obowiązek

myśleć o przyszłości, troszczyć się o dobrobyt własny i swéj rodziny, co tylko nastąpić może w poprawnych kasach oszczędności, czyli w bankach wzajemnych zabezpieczeń na życie.

W Krakowie już w roku 1869 zawiązało się takie Towarzystwo, lecz nie jestem w stanie dać bliższego objaśnienia co do obrotów jakie dotąd to towarzystwo zrobiło. Zasady jego, ogłoszone w broszurce: „Krótkie objaśnienie o zabezpieczeniu na życie“ jasno dowodzą — że tysiące członków w Towarzystwie ubezpieczeń na życie są większą gwarancyą, jak miliony kapitału zakładowego.

W Niemczech takich banków jest mnóstwo; w Anglii przeszło 400, a u nas w Poznańskiem — ani jednego.

Wielu z naszego księstwa jest zabezpieczonych w niemieckich bankach, tak że ich wkłady same nawet wystarczałyby na utworzenie swego własnego banku.

Przecież zanosi się na to, że ten nienormalny stosunek naszego ekonomicznego położenia już nie długo istnieć będzie.

Niedawno temu wystąpił Dr. Rejewski z projektem do ustaw banku zabezpieczeń na życie, objaśniając go w broszurce: „Warunki fundamentalne dobrobytu i organizacyi finansowo-społecznéj“.

Przewodniczącą myślą Dr. Rejewskiego jest, że tylko przez oszczędność możemy dojść do bogactwa, a przynajmniéj do dobrobytu, a że każdy ma życie i familię, i nie każdy dom lub pole, wprzód należy utworzyć bank zabezpieczeń na życie, a potém towarzystwo ogniowe, asekuracyi od gradobicia i może jeszcze od innych szkód elementowych, które to ostatnie także na innych warunkach jak dotychczasowe oparte być powinno, gdyż dom nie tylko ginie w płomieniach, łuną bijących pod niebo, ale pali się powolnie pod wpływem naturalnych przyczyn, bo gnicie drzewa, rozkład cegły, rdzewienie żelaza jest tak dobrze jak poprzedzające, paleniem się tychże przedmiotów. Jednak dotychczasowe towarzystwa nikomu nie nagradzają szkód tego rodzaju i dla tego trzeba je uważać za przestarzałe nawet te, które są oparte na wzajemności.

Oświadczając się otwarcie przeciwko wszelkiem grom, spekulacyom giełdowym, loteryom, każdemu kochającemu kraj, rodzinę i siebie polecić muszę oszczędność, zabezpieczenie się w banku zabezpieczeń na życie, bez którego oszczędność nie wielkie mieć może rezultaty.

Dobrze, że i Sobótka o tém przedmiocie wspomina, bo i jéj Czytelnicy powinni wiedzieć co się u nas dzieje i coby się u nas mogło robić, gdybyśmy mieli przez oszczędność nagromadzony kapitał.

Ogłaszając niniejsze moje uwagi w Sobótce, mam nadzieję, że jéj Czytelnicy z obywatelskiego poczucia wspierać będą własny bank zabezpieczeń na życie i tak pełnić będą swój obowiązek względem kraju i rodziny, jak go Sobótka wypełniła zwracając na ten przedmiot powszechną uwagę.

Korneliusz.

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Koléj żelazna na Rigi.

(Z ryciną.)

Słyszeliście już zapewne Czytelnicy, o niedawno ukończonéj kolei żelaznéj w Szwajcaryi na Rygi. Wszystkie europejskie dzienniki opowiadają o tém arcydziele wynalażczego ducha człowieka; lecz opowiadania te często są niejasne, przesadne i pod wieloma względami potrzebujące wyjaśnienia, wykazującego rzeczywistość. Przed laty kilkunastu, dyrektor warsztatów mechanicznych w Oeten pracował nad projektem opasania szynami Alp i w tym celu zbudował lokomotywę z kołem zębatem, na którą w r. 1862 otrzymał we Francyi patent. W spólnie z inżynierem Zschokke w Aarau robił on wiele mniéj więcéj szczęśliwych doświadczeń, a w r. 1868 napisał broszurę p. t. „Opasanie Alp szynami z systemem lokomotywy o kole zębatem.“ Bruszurka ta przez przedsiębiorców przesłaną została generalnemu konsulowi w Waszyngtonie, który w odpowiedzi zawiadomił, iż w Ameryce koléj z podobnym systemem na Mount-Waszington właśnie jest na ukończeniu. Wiadomość ta ośmieliła przedsiębiorców do rozpoczęcia pod kierunkiem inżyniera Näff z St. Gallen, robót przy kolei na Rigi. Po uzyskaniu pozwolenia władz kantonalnych i związkowych, kapitaliści z Bazylei i Lucern, złożyli połołowę kapitału akcyjnego t. j. 625,000 fr., reszta zaś została wypłaconą dnia 22 Września 1869 r. W kilku godzinach subskrybcya była ukończoną i tém samem przyszłość przedsiębiorstwa zapewnioną. Według sprawozdania inżyniera Grüner z Zurichu, który wysłany został do zbadania kolei na Mount-Waszyngton, koléj na Rigi, w zasadzie jest do niéj podobną ale w wykonaniu różniącą się.

Punkt oporu lokomotywy, leży w zębach umieszczony między szynami. Oddalenie szyn od siebie jest jak na wszystkich kolejach zwyczajne. Szyny leżą na podkładach poprzecznych, te zaś dla większéj pewności na podkładach podłużnych. Pomiędzy szynami znajduje się szyna zębata, służąca do chwytania koła zębatego lokomotywy. Przyrząd ten daje lokomotywie nie tylko opór, ale zarazem środek do posuwania się w górę i spuszczania na dół. Budowa lokomotywy ma tę własność, iż kocioł parny, nie jest leżący, ale stojący. Oś nadająca ruch, opatrzona jest w koło zębate, a zęby tego koła, z dokładnością zegarową chwytają wręby szyny zębatéj. Przytém jest przyrząd dający możność bardzo prędkiego wstrzymania pociągu. Lokomotywa w stanie zdolnym do jazdy, waży 240 cetnarów i porusza się siłą 120 koni. W tym roku wybudowano trzy lokomotywy: Bazylea, Bern i Lucern, tak nazwane na cześć miast, które gorącym udziałem w pyzedsiębiorstwie zapewniły jego urzeczywistnienie. Ponieważ lokomotywy te dla ruchu podróżnych w tym roku nie były wystarczające, postanowiono na rok przyszły przygotować trzy nowe. Lokomotywa pracuje z tyłu pociągu i jest zdolna dwa małe wagony lub jeden wielki prowadzić. Wagony osobowe są lekko lecz silnie zbudowane; większe na 54, mniejsze na 30 osób. Trzy wagony pakunkowe służą do transportu materyałów i towarów. Siedzenia w wagonach zbudowane są amfiteatralnie, tak że każdy z podróżnych rozkoszować się może ślicznemi widokami Alp.

Dotąd, przez cały ciąg trwania ruchu niezdarzył się

żaden wypadek. — Cała droga z Bitenau do granicy kantonu trwa jednę godzinę i wynosi 5 i 14 kilometrów. Dla nabrania wody i wyminięcia pociągów idących z przeciwnéj strony, jest przystanek mniéj więcéj w połowie wysokościgóry.

Podług obliczeń dziennie przyjeżdża tą koleją 750 osób. Od 20 Maja do 30 Czerwca 1871 r., wynosił czysty dochód kolei 23,600 fr., a do połowy Lipca pomimo niesprzyjającego powietrza 63,000 fr.

Wieści o niebezpieczeństwach grożących na téj kolei, są albo wymysłem chciwych na nowinki literatów, albo téż prostéj zazdrości. Na terytoryum kantonu Schwyz, z Gäterli do Rigi-Culm, usilnie pracują nad przedłużeniem téj linii. Według zapewnień naczelnego inżyniera, roboty w końcu tego roku ukończone będą.

Komiczne sceny przedstawia przybycie pociągu. Napad podróżujących na kasę z biletami, a następnie pchanie się do wagonów, jest tak gwałtowne, iż niejednokrotnie zdarzają się, mianowicie między synami Albionu, boksowe pojedynki.

Zwykle trzy pociągi ze 160 osobami, jadą jeden za drugim. Wciągu dwunastu tygodni, przejechało 65,000 osób. Pomimo wysileń, brak wagonów uczuwać się dawał i dla tego na przyszłość brakowi temu mają zaradzić.

Rycina nasza przedstawia most téj kolei, leżący w dziko-romantycznéj okolicy gór.

PAŁAC ŁAZIENKOWSKI W WARSZAWIE.

(Ciąg dalszy.)

Jednocześnie król stawiał pałac. Stary gmach Łazienek królewskich został na miejscu jak dawniéj, ale go rozszerzono, naprawiono, przerobiono na pałacyk i pokoje wewnątrz przybrały się stósownie, żeby mieszkaniem były królewskiém. Nowo dobudowane skrzydła powiększyły pałac, który stanął zupełnie w przeciągu lat trzech (1781—1784). W lecie 1783 kończono ostatnie w Łazienkach roboty. Nową z ciosu wystawę pałacu, ozdobiono korynckiemi słupami, toż samo i skrzydła. Nie mogąc się król swojém dziełem nacieszyć, przez całe życie, a raczéj przez całe panowanie swoje, budował ciągle w pałacu łazienkowskim; zawsze albowiem coś znalazł do poprawy, coś do uzupełnienia, upiększał, przerabiał, stroił. Wszyscy artyści polscy, a nawet celniejsi za granicą, jako to malarze, snycerze, rzeźbiarze z marmuru i z kamienia, pomagali pomysłami swojemi królowi, który ich rady ciągle zasięgał. Stanisław August zajmował się Łazienkami, tak jak kto inny zajmuje się młodą narzeczoną, którą lada dzień ma prowadzić do ślubu. Królowi w całéj téj robocie pomagali dwaj ulubieńcy jego, Kiccy stryj i synowiec, Jan i Onufry, obydwaj jeden po drugim koniuszowie koronni. Onufry, ale to już w późniejszych czasach, można powiedzieć, był drugim gospodarzem i właścicielem Łazienek, a przynajmniéj zarząd pałacu od niego zupełnie zależał.

Długoby opisywać potrzeba przepych wewnętrzny pałacu, a my tutaj głównie opowiadamy historyą całych Łazienek, nie całego pałacu. Pożądany jednak byłby szczegółowy opis tych piękności, chociażby dla zachowania pamiątki, jakto bywało w Łazienkach za czasów króla właściciela. Obrazy sławnych malarzy, wyroby, rzeźby, popiersia znakomitych mężów, stały w pokojach, a najwięcéj polskich. Podróżni podziwiali szczególnie dwie osobliwości; były to posągi Franklina i Woltera, na 7 — 8 cali wysokie, pod szkłcmi umieszczone. Pierwszego, artysta wystawił siedzącym u stolika, na którym stała machina elektryczna i mały imbryczek do herbaty; drugi pisał także na stoliku. Odzież twarz, guziki, wszystko było u nich jak w naturze i ztąd owo zajęcie jakie te posążki obudzały. Chińszczyzna łazienkowska także zwracała uwagę. Król Stanisław August miał szczególne do niéj upodobanie: w samym gabinecie swoim całą tylną ścianę kazał wyłożyć i ustroić widokami Pekinu.

Żeby lasek ubrać, król rozrzucił po całéj przestrzeni Łazienek, domy i chałupki różnego nazwiska, tak żeby wszystko pod szumną stolicą cichość i spokojność wiejskiego mieszkania przypominało. Domki te były przeznaczone dla gości codziennych łazienkowskich, których król często zapraszał, żeby ich uraczyć w swoim pałacu. Romantyczne nazwiska powymyślał dla tych chałupek; jedna się nazywała Białym domem, druga Mysłowicami, trzecia Lepianką i t. d. Potém, dla ozdoby miejsca, gęsto kazał kopać kanały do których wodę zgromadził z Wisły i z gór sąsiednich. Spadki, wodotryski pluskające pod oknami, ożywiały lasek, a wody spokojnie płynące w kanałach odbijały w lazurach swych niebo i okolicę. Stada łabędzi puszczono na te piękne wody. Gdy te łabędzie pływały, po lasku przechadzały się pawie, a z poza żerdzi wyglądały strusie, które do Łazienek sprowadzono, a które były w ciągłym ruchu, niepojmując co się to dzieje koło nich. Na drzewach wisiały klatki, z których wyglądały ospałe mormoty. Jednem słowem król zrobił wszystko co mógł, żeby zainteresować swojemi Łazienkami i dla tego serdecznie się cieszył, kiedy z upływem czasu widział, że publiczność warszawska srodze przywiązała się do jego ulubionego ustronia. Najprzód szli wszyscy oglądać roboty, potém chodzili oglądać skończony pałac i kanały, wreszcie przyzwyczaili się Warszawianie i chodzili do Łazienek na spacer, rzadziéj w dnie powszednie, ale coraz gromadniéj w święta. W istocie było co widzieć; Warszawa jeszcze nieprzywykła do zbytków wersalskich, do wspaniałości eskurialskiéj, niewiedziała nawet co to jest wiejski pałacyk królewski. W Wilanowie gościło się jakby u możnego obywatela, nie u króla, którego tutaj po niczémby poznać nie było można. W Łazienkach pierwszy raz Polacy oglądali wspaniałość królewską; tam, w cieniu rozkosznego lasku, poza drzewami pomarańczowemi i posągami alabastrowemi, spotykali pałac już nie willanowski, skromny, suchy, ale wspaniały, obstawiony kolumnami, samą okolicą w jakiéj go wzniesiono objawiający przepych monarchiczny. Kiedy więc publiczność tak chodziła po lasku i oglądała cudy tego przepychu, tymczasem król jegomość wychodzi z pałacu i spaceruje po nad wodami, najczęściéj sam jeden z paziem. Czasem spotka jaką młodą piękność, zatrzymuje się przez minutę i posyła pazia dowiedzieć się o nazwisko. Król roskoszował się naturą i cudami które stworzył; odtąd więc wszelkie dworskie na lato widowiska w Łazienkach się odbywały; teatr grano i na lądzie i na wyspie, i częste koncerta miały miejsce w sali chińskiéj

(Dok ończ. nast.)

Przegląd Teatralny.

Faktem to jest niewytłomaczonym, że kiedy inne sztuki, w zupełnym są w Wielkopolsce upadku, sztuka dramatyczna zdaje się cieszyć powodzeniem i względami szczególnemi. Publiczność nasza zajmuje się nią żywo, a w żadnéj prowincyi polskiéj, nie spotyka się tyle amatorskich przedstawień co w Księstwie. Czy te względy li tylko z zamiłowania ku sztuce, czy też i z innych pobudek płyną, nie będziemy przesądzali, bo kwestya ta już niejednokrotnie rozbieraną była. Konstatujemy tylko fakt, że i tym razem, po kilkomiesięcznéj przerwie, z niecierpliwością oczekiwano przedstawień sezonu zimowego, co najlepszym jest dowodem, iż scena polska stała się potrzebą codziennego życia naszego. Rada nadzorcza spółki teatralnéj uznając tę potrzebę zawarła umowę z p. Stanisławcm Dobrzańskim, znanym u nas artystą, iż ten do 1. Października zbierze towarzystwo dramatyczne i z dniem tym przedstawienia rozpocznie; w zamian zaś otrzyma z funduszów teatralnych 1000 tal. subwencyi. Stało się według umowy i zaledwie długie wieczory monotonią swoją przykrzyć się nam zaczęły, teatr polski przedstawienia rozpoczął i to tém powabniejsze, iż skład artystów i artystek jest nowy i jak się zdaje, więcéj obiecujący talentów niż przeszły.

O ile wiemy, organizacya Towarzystwa obecnego różni się bardzo od zwykle używanéj. Jest to spółka artystów, z władzą przez siebie wybraną. Korzyści materyalne, jeżeli takowe będą, rozdzielają się między spólników, w miarę stanowiska jakie każdy z artystów na scenie zajmuje. Oto jest główny zarys organizacyi Towarzystwa poznańskiego. Bezwzględnego wyroku z pierwszéj próby o wartości i trwałości podobnego Towarzystwa dać jeszcze nie można, chociaż powierzchownie sądząc wiele ma stron za sobą mówiących. Głównem staraniem Stowarzyszenia być powinno, ażeby w skład jego wchodziły żywioły miłujące sztukę i szczerze interesujące się dobrem Towarzystwa. Bez tych dwóch organicznych czynników, tysiąc znajdzie się destrukcyjnych powodów, które i dla sztuki i dla stowarzyszeuia grób wykopią.

Jest w losie narodów, które samoistność straciły, jakto słusznie zauważał Kraszewski, iż się chętnie rzucają ku sztuce i ku s z t u c z k o m. Tak Włochy słynęły niegdyś i z artystów i ze skoczków i z wędrowanych kuglarzy. Niech nas Bóg uchowa, ażebyśmy na to pole znijść mieli. Wykolejone egzystencye, proletarjat inteligencyi, ludzie nie wiedzący co począć z sobą i nie umiejący nic, chwytają za łatwy chleb ów, pewnym niby poetycznym osłonięty urokiem. Z żywiołów takich tylko komedyańci, nie artyści wychodzą. Niech więc Stowarzyszenie jeżeli go sztuka i przyszłość własna obchodzi, otoczy się murem przeciw żywiołom podobnym, niech niedopuszcza lekkomyślnego obierania zawodu, jeśli ku niemu prawdziwy talent nie pociąga, niech członkowie jego, życiem usprawiedliwią zadanie, jakie w naszych warunkach ma teatr. Jeżeli gdzieindziej szukają w teatrze tylko piękna i zabawy, u nas ma on zadanie wyższe, bo krzewi zamiłowanie zagrożonego języka ojczystego, niesie z sobą myśli, wykształca ogół i jest jedną ze zbrojnych placówek przeciw wciskającemu się germanizmowi. Na téj wysokości nie tylko scena ale i członkowie jéj w życiu utrzymać się winni, tembardziéj w naszém małem spółeczeństwie, gdzie krok każdy i każdego jest pod pręgierzem opinii publicznéj.

Jeżeli teatr do pewnego stopnia ulegać musi kaprysom smaku publiczności, to niemniéj prawdą jest, iż w stopniu odpowiednim jest tego smaku panem. Powszechnie dają się słyszeć skargi na upadek sztuki dramatycznéj, któréj zadaniem się dziś stało przedewszystkiem rozbudzać namiętności i to nie zawsze szlachetne. Kierunek ten jak mówią, wyszedł ze scen francuskich, chociaż w téj chwili odwrotnie rzeczy stoją. Czytamy w jednym z pism, iż na scenie paryskiéj cisza panuje, a wielkie S u r s u m C o r d a, które powtarza dziś Paryż i Francya, odbija się nie mniéj i na deskach teatru.

Kiedy Francuzi nie kwapią się z przedstawieniami nowości teatralnych, kiedy się boją dotknąć niezabliźnionych ran społeczeństwa, inne zato kraje: Belgia, Anglia, Ameryka i Niemcy, rozkoszują się Ofenbachiadą lub exploatują świeże a smutne wypadki zaszłe w Paryżu i rzucają je na pastwę chciwym gwałtownych wrażeń tłumom. W Bruxelli oddawna już grywano sztuki z oblężenia Paryża; w Bostonie bez względu na przysłowie: „Ostrożnie z ogniem“ posunięto się dalej jeszcze, przedstawiono w obrazach ostatnią katastrofę, wielką fantazmagorię p. t. R u i n y P a r y ż a.

Wszystko tu wystąpiło na scenę: i pałace i barykady i członkowie komuny i gwardya federalistów.

Pierwsze i jedyne przedstawienie zakończyło się w tragiczny sposób; w chwili gdy podpalacze przyłożyli głownie do papierowego gmachu, wyobrażającego ratusz, płomień wybuchnął, spalił dekoracye i ogarnął cały teatr. Fikcya zmieniła się w rzeczywistość; sztuczne wrażenia stały się prawdziwemi. Pożar ugaszono, ale sztuka upadła. Niebyłoż to cudowne ostrzeżenie?

U nas dzięki Bogu sztuka dramatyczna jeszcze się w te przepaście nie stoczyła. Narzekają w prawdzie na mnożące się przedstawienia postronkowych dramatów ogrodków warszawskich, ale z drugiéj strony cały szereg utworów oryginalnych, noszący wyższą, podnioślejszą i szlachetniejszą cechę, przeciw zarzutowi temu w obronie staje. Rok ubiegły tak w Królestwie jak i w Galicyi bogaty jest w utwory dramatyczne; dział nawet ten bogatszy jest od innych, ale jeżeli w ogóle nie da się porównać z nędzną literaturą zagraniczną, to nic mniéj bez zarzutu nie pozostaje. Znać w nim jakiś dziwny realistyczny kierunek; postaci idealnych prawie nigdy nie spotkasz, nawet miłość, ten kwiat uczucia, traktowaną jest z uśmiechem sceptycznym lub gorżką ironią. To duch czasu, mówicie, narzekanie nic nie pomoże. Prawda niestety!

Prócz tego zarzucilibyśmy naszym nowoczesnym utworom dramatycznym brak charakterów głębszych, subtelniejszych, pływanie po wierzchu, co robi każdą nie ledwie sztukę, prócz dekoracyi, podobną do siebie. Czy to fircyk nowoczesny, czy poważny wojewoda Zygmuntów, mówią w nich zawsze językiem konwencyonalnym, zużytym. Brak im języka i brak charakteru. Cóż dziwnego! Talentów jest dosyć, ale niema szkół gdzieby one rozwinąć się i piętna właściwego nabrać mogły. Bez wzorów starożytnych, bez znajomości literatury własnéj i obcéj, słowem bez systematycznego wykształcenia, pozostaną tylko dowody iskry bożéj, ale... nic więcéj. Dwudziestoletni autor nic nie umie — on już dziś nic umieć niechce, czyli raczéj jest przekonany, iż bez trudu uczenia się umie wszystko. Umysł ma żywy — szybko więc obejmuje powierzchnię rzeczy i to mu wystarcza, a jeżeli przypadkiem zwróci kto uwagę jego, iż tysiąc rzeczy w głębi, podspodem i z tyłu się znajduje, których szukać potrzeba, uśmiecha się i nazywa cię u c z o n y m, co w ustach jego obrazę oznacza.

Oto są, według naszego zdania grzechy nowoczesnéj literaturze dramatycznéj; ale byłoby niesprawiedliwością twierdzić, iż się w niéj nic nie znajduje wolnego od powyższych zarzutów. Są jeszcze, dzięki Bogu i talenta i umiejętność; o upadku więc zupełnym mowy być nie może

Dwa są zadania Dyrekcyi teatru: 1) Ułożenie repertuaru. 2) Umiejętność użycia i wyrobienia artystów.

Co do pierwszego: Dyrekcya mieć winna plan z góry określony, i przedstawienia układane nie według porządku biblioteki teatralnéj, lecz według systematu obmyślanego. Jakkolwiek stan naszéj literatury dramatycznéj nie nazbyt, jakto wyżéj powiedzieliśmy, jest pocieszający, to jednak główne numera repertuaru zajmować powinny, utwory oryginalne. Mniéj lub więcéj mogą one być udatne, ale zawsze są bliższe naszych potrzeb, śmieszności, wad, uczuć, słowem bliższe spółeczeństwa naszego. Z drugiéj zaś strony, jeżeli mówimy że literatura wspiera teatr, to odwrotnego poparcia i od niego doznaje. Z tych to przyczyn główne miejsce w repertuarze utwory własne zajmować powinny. Ale i tu jednostronność byłaby karygodną. I owszém — poznanie tego co obcy godnego poznania mają, jest koniecznością. Niejednokrotnie utwor dramatyczny daje jaśniejsze pojęcie spółeczeństwa, niż tomowe studya obyczajów i zwyczajów jego. — Grzechem byłoby żeby teatr niezapoznawał publiczności z Szekspirami, Molierami, Szillerami i żeby nieutrzymywał jéj w toku, co Francuzi wyrażają, au courant utworów wyszłych z pod pióra takich Augier'ów, Sardou, Gutzkowów i t. d. Ale raz jeszcze powtarzamy, że w wyborze kierować się należy rozwagą i przyjętym systematem, do którego nawet benefisanci mający wolny sztuk wybór, zastósować się winni.

Co do drugiego punktu, t. j. umiejętności użycia i wyrobienia artystów, jest to zadanie bardzo trudne, może najtrudniejsze dla Dyrekcyi. Dopóki Dyrekcya na własnéj scenie niewyrobi sobie we wszystkich kieruukach odpowiednich artystow, do póty teatr będzie klejanką mniéj lub więcéj udatną. Wyszukanie talentu, odkrycie kierunku jego i popchnięcie właściwe, oto sztuka Dyrekcyi i największa jéj zasługa. Goethe gdzieś powiedział „iż gołębie winny być sądzone jako gołębie, a orły jako takie. Nie można wymagać od artysty, czego talent jego nie daje, co nie leży w jego sferze; każdy talent naturą jego mierzyć się powinien. Ale nieraz talent jest jak drogocenny kamień, pokryty niepozorną skorupą, niezapowiadającą tych skarbów, które w swem łonie ukrywa. Sztuką i zadaniem będzie kierownika, przejrzeć przez tę skorupę i na téj podstawie talentem kierować. Kiedyś przewodnikiem takim był Chełkowski, a dziś pomimo może i słusznych w części krzyków, jest Skorupka krakowski, z pod którego ręki wyszli Rapacki, Modrzejewska, Ładnowski i t. d.

Oto jest kilka uwag, które nam przy pojawieniu się nowego składu artystów i przy nowéj Dyrekcyi nastręczyły. Robimy to z życzliwością i z chęcią ażeby skład obecny mógł już być rzeczywiście stałym zadatkiem do téj przyszłosci, w któréj teatr nasz lepszych losów dożyje, ażeby scena i artyści odpowiedzieli nadziejom w nich położonym i ażeby w końcu sztuka i jéj przedstawiciele zrośli się ze społeczeństwem miejscowem.

O wartości artystycznéj składu Towarzystwa, przedwcześnie byłoby dziś już wyrokować. — Spotkaliśmy kilku starych i dobrych znajomych, jak pp. Dobrzańskiego, obecnie Dyrektora, Konarskiego, Cezara, pp. Góreckie, Heneman, Czajkowską i t. d. Z nowo przybyłych mieliśmy dotąd sposobność poznać państwo Wolańskich, p. Kwiecińskiego i p. Zakrzewskiego. Mówią iż w tych dniach skład Towarzystwa powiększy się jeszcze o kilku członków, a mianowicie zachwalaną jest oczekiwana pani Szymańska.

Do chwili w któréj Przegląd nasz piszemy były dwa przedstawienia: w Sobotę Śluby panieńskie Al. hr. Fredry i w Niedzielę Zrzędność i Przekora, komedya w 1 akcie Al. hr. Fredry; Być kochanym lub umrzeć, jedno aktowa komedya z francuzkiego. Po pierwszéj sztuce p. Zakrzewski odśpiewał z towarzyszeniem fortepianu Aryę z Marty, Serenadę kompozycyi p. Hertza i Aryę z Halki.

Komuż z Czytelników znane nie jest cacko dramatyczne, Śluby panieńskie? Stara a wiecznie świeża komedya długo jeszcze pozostanie w repertuarach wszystkich naszych teatrów; bo też bez zaprzeczenia trudno się spotkać z utworem mającym więcéj cech znamienujących komedyę salonową. Nawet wiersz rymowany, tak nie odpowiedni charakterowi każdéj komedyi i dziś prawie zupełnie z niéj wyrugowany, w Ślubach panieńskich, nie krępuje swobody, dowcipu i lekkości dyalogu. Ggyby Al. hr. Fredro prócz Ślubów panieńskich nic po sobie nie zostawił, niemniéj jednak przyznano mu by imię znakomitego dramaturga. Utwór ten zanadto jest znany i tylokrotnie rozbierany, ażebyśmy czuli potrzebę wdawania się w szczegółową jego recenzyę. Przejdźmy raczéj do pobieżnéj oceny gry artystów występujących w Sobotniem przedstawieniu. Rolę Radosta miał p. Konarski, Ciotkę grała pani Wesołowska, Anielę p. Górecka M., Klarę pani Wolańska, Albina p. Kwieciński, Gustawa p. Wolański.

Główną uwagę zwracał na siebie p. Wolański; przychylna bowiem opinia poprzedziła występ jego. Z jednorazowego debiutu stanowczego zdania dać nie podobna, zdaje się jednak, iż p. Wolański nie jest miernym artystą i że poprzedzającą go famę potrafi usprawiedliwić. Powierzchowność sympatyczna, swoboda i głos dźwięczny, to są przymioty zewnętrzne, rzucające się w p. Wolańskim najprzód w oczy i zalecające go od razu publiczności, Dla artysty dramatycznego powierzchowność, głos i giętkość ciała są darami równie potrzebnemi jak dar jego duchowy. Natura nieszczędziła panu Wolańskiemu tych darów. — Co do roli Gustawa, był to Gucio według nas może trochę nazbyt dziecinny, niezdradzający wewnątrz gruntu poważniejszego, jaki autor chciał w nim widzieć; był to studencik a nie trzpiot. — Jest to zarzut podrzędny, bo artyście do pewnego stopnia wolno nadać roli piętno indywidualne, byle tylko nie nazbyt sprzeczne z oryginałem. Wszędzie gdzie p. Wolański był tkliwym, czyli tam wszędzie gdzie Gucio w obec Anieli był sobą, gra p Wolańskiego tyle miała naturalności, prostoty i czułości, że nic do życzenia nie pozostawało. Podnosimy tę wybitną stronę pana Wolańskiego dla tego, iż rzadko spotyka się na scenie tak zwanych Kochanków, którzyby wolni byli od przesadnego pothos, od rozpaczliwych i namiętnych wykrzykników, słowem takich, którzyby ukrytą dla oczów ludzkich średnicę uczucia miłości, uchwycić potrafili. Zwykle sceniczni kochankowie albo ckliwym liryzmem, albo otelloską gwałtownością się cechują. Kierunek ten talentu jest nader rzadki, tak dalece, iż w ostatnich czasach w Europie, bodaj jedyny Devrient opinię tak zwanego amanta zdobyć potrafił. Natomiast gdzie Gucio musiał być podwójnym, gdzie tłumił uczucia w obec Anieli, zdaje się nam, iż za wiele gwałtu im zadał, bo widz z niczego domyśleć się nie mógł o rzeczywistych skłonnościach jego. Delikatny odcień nadałby tym chwilom więcéj powabnéj dramatyczności. Pan Wolański zdaje się być artystą z talentem i jakkolwiek młody, widocznie mieć musi nie małą praktykę sceniczną, bo scena w niczém swobody jego nie krępuje.

Pan Kwieciński z małéj roli Albina wszystko zrobił co mógł zrobić. Uznając grę jego wstrzymujemy się od wyroku o talencie aż do chwili nim go w rolach dających więcéj sposobności uwydatnienia się nie ujrzymy. — Zaznaczyć tylko winniśmy, iż w małych ramkach Albina odznaczył się starannością i przyzwoitością gry, cechującą artystę wielkiéj sceny. Pan Kwieciński bowiem był dotąd na scenie Warszawskiéj, co już dla Poznania jest dobrą rekomendacyą.

Pani Wolańska z wielkiem życiem oddała zawziętą na ród męzki Klarę i nieraz do śmiechu publiczność zmuszała. Artystka ta zdaje się być dobrym nabytkiem dla sceny naszéj. Pozwalamy sobie zwrócić jéj uwagę na głos, który potrzebuje tylko wyrobienia, a będzie bardzo dobrym.

Radost pan Konarski, łączył się z ogólnym żywym tokiem komedyi i do jéj powodzenia porówno z innymi się przyczynił. Najmniéj zadowolniły nas PP. Wesołowska i Górecka M.

O przedstawieniu niedzielnem nic niepowiemy. Były to dwie sztuczki małe, wesołe, zastósowane do szerszego koła widzów.

Na uwagę szczególną w przedstawieniu tem zasługiwał młody śpiewak P. Zakrzewski Głos ma rzadki bo tenorowy, silny i przyjemny, ale szkoly widocznie jeszcze nieprzebył. Jest to akwizycya dla teatru bardzo pożądana i niejednemu przedstawieniu wdzięku wiele doda. Wspomnieć tu także wypada o odegranéj przez orkiestrę kompozycyi P. M. Hertza; wielkim polonezie, instrumentowanym przez samego kompozytora. Na naszym nieurodzajnym dla sztuk gruncie, każdy płód ducha stokroć cenniejszym być powinien niż gdzieindziéj. To też publiczność melodyjny polonez P. Hertza oklaskami przyjęła, do których i my na tem miejscu chętnie się łączymy, uznając talent i pracę artysty około rozbudzenia życia muzykalnego w Wielkopolsce.

X. Y.

Szarada.

Pierwsze i trzecie służą do ubrania głowy,
A wspak drugie wprost trzecie do domów budowy;
Wszystko tam znaleźć można gdzie jest drobna dziatwa.
Szarada krótka bardzo i podobno łatwa.

(Rozwiązanie zagadki w Nr. 40: *Pac.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu K. S. w Galicyi: Szarada: Pierwsze litera, drugie zwierz, Razem zbierz i to zwierz; co ma oznaczać Kacap; jest dowcipna, ale we właściwém miejscu zamieścić jéj nie możemy, bo rozwiązanie allegoryczne. — Pani W. S. w Bo...: Pytasz Pani o najlepsze książki dla dzieci. Za wskazówkę służyć może Promyk, tygodnik poświęcony młodocianemu wiekowi i wychodzący w Poznaniu od 1. Października r. b. Spotkasz tam prócz tego Pani, prześliczne wierszyki z historyi polskiéj, o rycerzach w skrzydlatych zbrojach, o małym Bolesławku królewiczu i wiele bardzo urywków z nauk do umysłu dzieci zastósowanych. Polecamy go pani gorąco. — Autorce Luźnych kartek: Przypominamy się o ciąg dalszy. — Za dotychczasową przesyłkę serdecznie dziękujemy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).